



MANSARDA POD ANIOŁAMI

Cuda
i
cudeńka

AGNIESZKA
OLEJNIK

FILIA

AGNIESZKA
OLEJNIK

Cuda
i
cudeńka

MANSARDA POD ANIOŁAMI

FILIA

ROZDZIAŁ 1

Wiatr zawiął tak mocno, że idąca ulicą starsza kobieta była zmuszona przytrzymać sobie na głowie zielony beret z antenką. Kilka zeschniętych liści zatańczyło w kącie między schodkami a ceglany cokołem kamienicy. Helena zaparkowała obok przechylonego, zardzewiałego trzepaka. Wysiadła, z trudem wyciągnęła z bagażnika plecak oraz walizkę, po czym zadarła głowę, aby obejrzeć miejsce, które na jakiś czas miało stać się jej domem.

Budynek musiał być stary, ponemiecki, ale najwyraźniej w ostatnich latach przeszedł gruntowny remont – elewacja miała przyjemny śmietankowy kolor, nieco tylko przybrudzony. Tynk przykrywała częściowo gęsta zasłona bluszczu wijącego się od rogu kamienicy i tworzącego wachlarz ciemnej zieleni, który zwężał się ku górze, wysuwając jednak pojedyncze gałązki aż po mansardowy dach, pokryty dachówkami w różnych odcieniach czerwieni. Drewniane

okna były pomalowane na biało. Wysoko nad wejściem do klatki schodowej wznosił się półkolisty szczyt ozdobiony girlandą, której końce dzierżyły w dłoniach dwie rzeźby aniołów patrzących na świat, jak się Lenie wydawało, z wielką troską. Między aniołami znajdowało się niewielkie owalne okienko. Dziewczyna pomyślała, że na pewno przyjemnie jest wyglądać przez nie o poranku i widzieć z góry dachy niższych domów oraz koty przemykające sobie tylko znanymi ścieżkami.

Sprawdziła adres: Bukowa trzynaście. Wszystko się zgadza, to na pewno tutaj. Z wysiłkiem pchnęła ciężkie drewniane drzwi i zagłębiła się w półmroku klatki schodowej. Pachniało wilgocią, lecz nie był to przykry zapach. Kojarzył się z jesiennym lasem albo z jakąś grota, w której kryje się tajemnica.

Jeszcze chwila i zacznie się nowy rozdział w jej życiu. Nie była tylko pewna: lepszy czy gorszy? Wciąż jeszcze mogła się wycofać, wrócić do rodzinnej wsi i nadal pomagać rodzicom w gospodarstwie. Nawet jeśli oni tej pomocy w gruncie rzeczy nie potrzebowali, to jednak zawsze czekał tam na Lenę ciepły kąt i talerz rosółu ugotowanego przez mamę – więc najlepszego na świecie. Tamten świat był nudny i nie dawał żadnej szansy na to, że cokolwiek zmieni się w życiu dziewczyny, ale zarazem miał w sobie to, czego w tej chwili potrzebowała najbardziej: bezpieczeństwo.

Stojąc u podnóża schodów wiodących na wysoki parter kamienicy, Lenka próbowała uspokoić serce walące w piersi.

Za chwilę miała wejść do mieszkania kogoś, o kim w rodzinie krążyły legendy. I nie były to opowieści o ślicznej, łagodnej królownie z kamienicy pod aniołami, lecz raczej o wiedźmie, która uprzykrzała życie innym lokatorom, a z własnymi krewnymi nie potrafiła żyć w zgodzie. Z babcią Micią podobno nie sposób było długo wytrzymać. Ojciec Leny odwiedzał swą matkę kilka razy w roku, lecz na jej wyraźne życzenie nie zabierał ze sobą żony ani córki. Nigdy nie zostawał dłużej niż na weekend, a i tak wracał zupełnie rozstrojony.

Jedyne wspomnienie Leny dotyczące babci wiązało się z pewną uroczystością rodzinną. Był rok dwutysięczny, Lena miała dziesięć lat, jej mama Bożena kończyła czterdzieści, a zarazem był to rok jubileuszu dwudziestolecia ślubu rodziców. Wujkowie, ciotki i kuzyni wymyślili wielkie przyjęcie-niespodziankę, wynajęli salę bankietową i w tajemnicy przed jubilatami zaprosili krewnych z całej Polski.

Zadaniem Lenki było zdobycie numeru telefonu do babci Mici. Komórki były jeszcze wówczas na wsi rzadkością, trzeba więc było przeszukać ojcowskie szuflady w biurku i odnaleźć stary notes z adresami i numerami telefonów znajomych. Dziewczynce drżały dłonie, kiedy w sekrecie notowała cyferki na skrawku papieru. Potem niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę, słuchając, jak wujek Grzesiek telefonuje, przedstawia się grzecznie i usiłuje przekonać babcię, aby przyjechała na uroczystość.

– Dzień dobry. Jestem bratem Bożeny Botuli, żony Aleksandra. Dzwonię do pani z serdecznym zaproszeniem tutaj do nas, do Karbowa pod Poznaniem. Chcemy urządzać mojej siostrze przyjęcie z okazji czterdziestych urodzin, a tak się składa, że akurat przypada też dwudziesta rocznica ich ślubu, no i Helenka kończy dziesięć lat... W dodatku rok taki okrągły, dwutysięczny... Krótko mówiąc, organizujemy zjazd rodzinny.

W słuchawce panowała cisza.

– Halo? Słyszysz mnie pani? – upewniał się wujek Grzesiek. – Pani Mieczysławo?

– Słyszę. – Odezwał się chłodny głos. – Ale ja nigdzie się nie wybieram. Do widzenia.

I tyle. Nie było żadnych wyjaśnień, dlaczego teściowa Bożeny i zarazem jedyna krewna Aleksandra nie pojawi się na rodzinnym zjeździe, nie było przeprosin, jakiegoś wykrętu. Babcia Mieczysława nie była zainteresowana i już.

Lenka nigdy nie wypytywała taty o jego matkę. Już jako mała dziewczynka przyjęła do wiadomości, że odwiedzin u tamtej babci nie będzie. Nie martwiło jej to szczególnie, bo rodzina ze strony mamy była liczna, serdeczna i niezwykle kontaktowa. Na wakacje i święta jeździło się albo do babci Jasi do Dębina, albo do wujka Stasia pod Sieradz, a upalne letnie dni można było spędzić u wujka Władka w Goleniowie, skąd był już tylko żabi skok nad morze. Albo wreszcie spraszało się wszystkich do siebie, do Karbowa. Dom był duży, mógł pomieścić wielu gości, także niezliczonych

kuzynów mamy z rodzinami. Zawsze było wesoło i optymistycznie, nikt więc nie przejmował się mrukliwą i zimną jak gładz babcią z odległego Lubuska, o której wiadomo było tyle tylko, że mieszka sama na zachodnim krańcu Polski i nie zamierza tego zmienić, bo tak jej dobrze.

W czwartej klasie mała Helenka musiała przygotować na lekcję historii drzewo genealogiczne – nauczycielka poprosiła o skopiowane zdjęcia, a jeśli dzieci takowych nie miały, o narysowanie niewielkich portrecików krewnych. Wówczas – po raz pierwszy i jedyny – padło pytanie o dziadka ze strony ojca.

– Dziadka nie ma. – Brzmiała odpowiedź Aleksandra Botuli. – Nie mam ojca i nigdy nie miałem.

– Ale co ty opowiadasz, nie miałeś! – Denerwowała się mama, która pomagała małej Lence wycinać skserowane fotografie. – Nie wciskaj dziecku głupot. Każdy ma ojca, córeczko. Po prostu dziadziuś zmarł, zanim twój tata się urodził.

Ostatecznie Lena narysowała portret mężczyzny nieco przypominającego jej ojca: krótka jasna broda, niebieskie jak bławatki oczy i niesforna czupryna blond włosów (aby uwzględnić wiek dziadka, dla porządku dorysowała ołówkiem kilka kresek, które miały oznaczać siwe pasma).

Nigdy potem nie było mowy ani o babci Mieczysławie, ani o dziadku, którego imię Helenka poznała, będąc już dorosłą pannicą. Porządkowała kiedyś dokumenty i natknęła się na akt urodzenia ojca: Aleksander Botula, urodzony

w roku 1956 w Lubsku, syn Bolesława Lityńskiego i Mieczysławy Botuli.

Zaczerpnęła powietrza w płuca, poprawiła plecak na ramionach, dźwignęła walizkę i weszła po kilku schodkach. Na parterze stanęła pod drzwiami z wygrawerowaną dwójką. Dla porządku zerknęła do telefonicznych kontaktów, gdzie zapisała sobie adres: Bukowa trzynaście, mieszkanie dwa. Nie chce być inaczej. Trzeba zapukać. Raz kozie śmierć.

Drzwi otworzył młody, zarośnięty jak nieboskie stworzenie mężczyzna w porozciągłym swetrze.

– Pani jest Helena Botula? – upewnił się na wszelki wypadek. – To świetnie, bo ja muszę lecieć. Do widzenia. Na stoliku jest numer do mojej matki, jakby co.

I już go nie było.

Lena zsunęła z ramion plecak, postawiła bagaż pod ścianą, po czym bardzo powoli zdjęła buty, kurtkę i czapkę. Zwlekała, czekając na głos, który zaprosi ją do środka. Nikt się jednak nie odezwał. Zalękniona i niepewna, postąpiła kilka kroków do przodu. W mieszkaniu pachniało lekarskami, kurzem i ziołami.

Przedpokój był szeroki, urządzony oszczędnie: jedynie wieszak na ubrania oraz niewielka szafka na buty. Żadnych ozdób, obrazka na ścianie, lustra. Po prawej stronie dziewczyna zobaczyła uchylone drewniane drzwi. Miały odcień bieli, która dawno stała się szara w ten przykry sposób, w jaki starzeją się białe przedmioty i tkaniny. Lena

dostrzegła zarys umywalki i już wiedziała, że tam musi być łazienka. Naprzeciwko nie było drzwi, najwyraźniej je wystawiono, ponieważ przy futrynie sterczały zawiasy. Tutaj znajdowała się kuchnia: nieco zaniedbana, dawno nieremontowana, ale czysta.

Przedpokój prowadził do trzech kolejnych pomieszczeń. Dwoje drzwi było zamkniętych, a jedno otwarte – i to właśnie tam, jak się domyśliła Lena, musiała znajdować się sypialnia babci Mieci. Dziewczyna przełknęła nerwowo ślinę, położyła sobie rękę na sercu, jakby to mogło uspokoić jego galop, i weszła do tego pokoju.

– Dzień dobry – powiedziała w przestrzeń, bo w pierwszej chwili nie zauważyła staruszki.

Łóżko odwrócone było w taki sposób, że leżąca nie widziała drzwi, patrzyła w przeciwnym kierunku – na pustą, białą ścianę. Gdyby chociaż przodem do okna, pomyślała Helena, wówczas babcia mogłaby obserwować chmury albo gołębie. Ale patrzeć w stronę ściany?

Lenka postąpiła jeszcze kilka kroków i ostrożnie usiadła na brzeżku łóżka. Wsparta na kilku poduszkach kobieta, o twarzy pomarszczonej jak rodzynek, otworzyła oczy. Czarne niczym węgielki i przenikliwe. Przez chwilę patrzyła na Lenę, a potem ponownie zamknęła powieki.

– To ja, babciu. – Dziewczyna odważyła się przedstawić. – Twoja wnuczka Helena. Ale nie lubię tego imienia, wolę być Leną.

Kobieta milczała.

Lenka dopiero teraz przypomniała sobie, że babcia nie może jej odpowiedzieć. Po wylewie straciła zdolność mówienia i póki co lekarze nie potrafili orzec, czy jeszcze kiedykolwiek ją odzyska. Tak powiedział ojciec po tym, jak przywiózł babcię ze szpitala.

– Przyjechałam, żeby się tobą zająć – ciągnęła Lena, licząc na ponowne otwarcie oczu. – Tata nie mógł tu zostać, wiesz, ma na głowie gospodarstwo, zresztą chyba nie byłoby dobrze, żeby mężczyzna cię mył i tak dalej. A ja i tak siedziałam beczynn timer domu, bo straciłam pracę w szkole i niczego innego nie mogłam znaleźć. Na wsi nie ma zbyt wielkiego wyboru – dodała gwoli usprawiedliwienia, gdyż nie chciała wyjść na nieroba.

Babcia rozchyliła powieki dosłownie na kilka sekund, po czym zamknęła je znowu. Lena wstała i podeszła do okna wychodzącego na podwórko z samotną brzozą, która chwiała się na wietrze.

– Nigdy się nie widziałyśmy, więc opowiem ci krótko, babciu, o sobie... Mam już dwadzieścia sześć lat, może pamiętasz, bo przecież tata musiał cię informować, może nawet zdjęcia pokazywał... Skończyłam studia i przez trzy lata pracowałam w szkole, bo ja jestem panią od nauczania początkowego, wiesz? Lubię dzieci i wydawało mi się, że to będzie łatwizna uczyć je literek i całej reszty. Ale okazało się, że to niekoniecznie takie proste. Zresztą kiedy indziej ci opowiem, czasu będziemy miały aż nadto. W każdym razie uwielbiałam tę pracę, ale moją szkołę zamknęto, bo dzieci

było niewiele, a teraz samorządy szukają oszczędności. Sie-
działam więc na garnuszku rodziców, trochę próbowałam
pomagać mamie w szyciu, bo lubię takie manualne zajęcia,
ale na dłuższą metę to nie jest rozwiązanie...

Urwała, sprawdzając, czy wywołała jakąkolwiek reakcję.
Owszem, wywołała – taką, że starsza pani otworzyła oczy
na dobre i teraz wlepiła badawcze spojrzenie we wnuczkę.
Dobre i to.

– I tak oto, babciu, jestem. Tata zadzwonił do tej wynajętej opiekunki i poprosił, żeby cię uprzedzić, ale nie wiem, czy to zrobiła. Wprowadzę się do ciebie i pomieszka tu, póki nie wydobrzejesz. Wiem, że to trochę niezręczna sytuacja dla ciebie, tak samo jak dla mnie, ale przecież rodzina to rodzina, prawda? Trzeba sobie pomagać. A teraz przepraszam cię na chwilę, muszę zadzwonić do pielęgniarki i zapytać, co i jak z lekarstwami.

Uważne spojrzenie babci towarzyszyło dziewczynie, kiedy rozglądała się po pokoju w poszukiwaniu stolika, na którym miał się znajdować numer telefonu zapisany przez zarośniętego młodzieńca. Ponieważ go nie znalazła, wyszła i skierowała się do kolejnego pomieszczenia.

Był to pokój, który przy odrobinie dobrej woli można by nazwać biblioteką, ponieważ jedną ścianę zajmowały regały. Niestety stało na nich niewiele książek, a znacznie więcej słoików z przetworami. Pozostałe ściany były puste, pozbawione mebli, tylko w rogu znajdował się złożony w kostkę materac. U Leny w domu coś takiego nazywano

amerykanką, a używało się tego wówczas, gdy pojawił się nadprogramowy gość i zabrakło łóżek. Pewnie tu właśnie nocował jej tata, kiedy odwiedzał matkę. I zapewne tutaj miała spać sama Helena.

Niestety dojście do amerykanki, do okna i nawet do ścian blokowały kartony poustawiane jeden na drugim dosłownie wszędzie, tak że tworzyły labirynt, w którym pozostawiono wąską ścieżkę prowadzącą do regału, a konkretnie do półki z dżemami i kiszonymi ogórkami. Lena schyliła się i otworzyła pierwsze z brzegu pudełko. Znajdowały się w nim puszki zielonego groszku. W następnym odkryła zapasteryzowane w słoikach domowe mięsivo, coś w rodzaju kielbasy otoczonej złocistą galaretką.

Stolik i leżącą na nim karteczkę z numerem telefonu dziewczyna znalazła w ostatnim pomieszczeniu. Był to pokój gościnny, choć niezwykle skromny. Dwa fotele, szafka z telewizorem, ława i meblościanka pamiętająca zapewne epokę gierkowską, stanowiły całe wyposażenie owego pokoju. Na półkach meblościanki babcia ustawiła trzy kryształowe wazy oraz małego porcelanowego słonika. Ściany, jak zresztą w całym mieszkaniu, były zupełnie gołe i nieskazitelnie białe.

Helena wzięła do ręki karteczkę i wróciła do przedpokoju, by wyciągnąć z kieszeni kurtki telefon komórkowy. Wybrała numer. Po chwili odezwał się ciepły głos.

– Słucham?

– Dzień dobry, mówi Helena Botula, wnuczka Mieczy-sławy. Właśnie przyjechałam, żeby się zająć babcią.

– Ach, już pani jest, to świetnie. Zaraz tam do pani wpadnę i wszystko pokażę, gdzie są lekarstwa, co dawać do jedzenia i tak dalej.

– Dobrze. W takim razie czekam.

Zajrzała do pokoju babci, ale ta spała lub udawała, że śpi, co w sumie na jedno wychodziło.

Lenska przeniosła plecak do małego pokoju, który w myślach nazwała już spiżarką. Z trudem dotarła do amerykańki, przedstawiając kartony jeden na drugi i w ten sposób torując sobie drogę. Uprzątnęła tyle pudełek, aby móc rozłożyć materac, po czym usiadła na nim i zastanowiła się, co dalej. Chciała wypakować z plecaka ubrania i książki, ale chwilowo nie miała gdzie ich umieścić, dała więc sobie spokój. Wyjęła tylko kosmetyczkę i zaniosiła do łazienki. Tam też było niezwykle skromnie, wręcz biednie: najtańsza pasta do zębów i zwichrowana szczoteczka w plastikowym kubku, krem nivea, poszarzały ręcznik na metalowym haczyku, mydło w mydelniczce i pudełko proszku do prania. Obok starej pralki znajdowała się mała wanna, w której można było co najwyżej usiąść, zaś tuż przy drzwiach była umywalka.

Lenska westchnęła. Jedno było pewne: nie będzie jej się tu żyło luksusowo. Nie żeby była do luksusów przyzwyczajona – wręcz przeciwnie, wychowała się w dość surowych warunkach, w domu, w którym wprawdzie były niezbędne sprzęty, ale już na przykład ciepła woda leciała z kranu tylko wtedy, gdy ktoś narąbał drewna, przyniósł węгля i napalił w piecu. Karbowo znajdowało się na tyle daleko

od najbliższej dużej wsi, że na szkolny autobus albo do sklepu po chleb trzeba było iść trzy kilometry przez pola. Kiedy dziewczyna była mała, pokonywała ten dystans na rowerze, ale w zimie musiała chodzić na piechotę. Dopiero jako nastolatka, gdy zdobyła prawo jazdy, zaczęła jeździć rozklekotanym samochodem.

Babcia nadal leżała bez ruchu. Lena czuła się nieswojo w tym pustym domu, w którym cisza aż kłuła w uszy. Żeby zająć się czymś podczas oczekiwania na pielęgniarkę, wróciła do przestawiania kartonów. Wykorzystując wolne miejsce na półkach regału, wypakowała całe pudło paprykarzy i powideł śliwkowych, zyskując w ten sposób dwa puste kartony, do których postanowiła włożyć swoje ubrania. Przywiozła sobie tylko odzież na pierwsze dni, resztę miał dostarczyć tata w najbliższy weekend. Zresztą nie było tego znów tak wiele. Helenka nigdy nie miała szczególnego nabożeństwa do mody, kupowała jedynie niezbędne rzeczy, a w dodatku ubierała się jak nastolatka: nosiła dżinsy, proste swetry lub koszulowe bluzki, latem trampki, a zimą martensy. Nie malowała się, a włosy wiązała w koński ogon. Mama czasem żartowała, że w ten sposób Lena nigdy nie znajdzie męża, bo ubierając się w takim stylu, można skusić co najwyżej chłopaka w wieku licealnym. Jednak tak naprawdę obie się z tego śmiały. Helence nie spieszyło się do zamążpójścia, a co do miłości – jak dotąd jej serce zabiło żywiej tylko dla jednego mężczyzny, a ten okazał się niegodny nawet

sympatii, a co dopiero czegoś więcej. Dziewczyna się sparzyła i od tamtej pory zwyczajnie nie potrafiła się zakochać. Czasem po cichu marzyła, że pewnego dnia wielkie uczucie spadnie na nią jak grom z jasnego nieba, ale im była starsza, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że takie rzeczy zdarzają się jedynie w kiepskich filmach.

Kiedy dało się słyszeć pukanie do drzwi, Lena zdążyła już trochę uporządkować pokój. Słoiki ustawiła ciasniej na półkach regału, nieliczne książki (prawie wyłącznie kucharskie) przeniosła na meblościankę w salonie, a resztę kartonów postanowiła rozlokować według zawartości: przetwory mięsne w jednym kącie, warzywa w drugim, a w trzecim ryby.

Pobiegła otworzyć.

– Dzień dobry! – zawołała pulchna kobieta z rozwianymi włosami i rumieńcami na policzkach, która wtargnęła do mieszkania niczym wichur. – A ja się spodziewałam jakiejś starszej pani. Proszę się nie gniewać, ale kiedy pan Aleksander zadzwonił i powiedział, że przyjedzie Helena...

– Tak wiem – mruknęła dziewczyna. – Mam takie trochę staroświeckie imię. Dlatego wolę formę „Lena”.

– Ale jesteś pełnoletnia? – upewniła się tamta.

Dziewczyna stłumiła śmiech. Nie pierwszy raz, i zapewne nie ostatni, została wzięta za licealistkę. Przy swojej drobnej posturze, młodzieżowym stroju i braku biżuterii oraz makijażu zdążyła się do tego przyzwyczaić.

– Mam dwadzieścia sześć lat – odparła.

– Oj, to przepraszam najmocniej. Wygląda pani tak młodziutko... No, ale nic, przejdźmy do rzeczy. Pani Helenko, musi pani być świadoma, że to nie będzie łatwe zadanie.

– Może usiądźmy...

– Nie, nie mam czasu, zaraz muszę lecieć. Mój numer pani ma, jakby co, to proszę dzwonić o każdej porze. Ja jestem pielęgniarzką środowiskową, Alina Budnik się nazywam, będę do was zaglądać i sprawdzać, czy wszystko dobrze.

Lena słuchała, czując lekki zamęt w głowie.

– Babcia miała udar – ciągnęła pani Alina, wchodząc do kuchni i pokazując wiklinowy koszyczek pełen lekarstw, leżący na niskiej lodówce. – Ale na szczęście niezbyt rozległy. Lekarze mówią, że to jeden z łżejszych przypadków i że powinna wrócić do pełnej sprawności. Musi pani przypilnować leków na nadciśnienie, to bardzo ważne. Na kartce napisałam, które i kiedy dawać. Codziennie też musi pani mierzyć babci ciśnienie. Potrafi pani?

Dziewczyna skinęła głową. Tego akurat nauczył ją ojciec, zanim tu przyjechała.

– Teraz dalej. Jest lekki niedowład prawej strony, babcia może też niewyraźnie mówić, ale trzeba ją zachęcać, powinna jak najwięcej próbować.

– Ale tata tłumaczył, że babcia wcale... Że ona nie mówi.

– Na razie nie mówi, ale pewnie lada dzień zacznie. Ja już wielu takich pacjentów widziałam. Jak jej pani powie, że trzeba będzie powywalać te kartony z drugiego pokoju,

to zaraz przemówi! – Pielęgniarka zaśmiała się. – Żartuję oczywiście. Ale prawda jest taka, że z babci jest niezłe ziółko. Może chodzić, ale nie bardzo jej się chce. Naturalnie, to wymaga od niej wysiłku, ale po prostu musi tę prawą nogę ćwiczyć. Trochę nią powłóczy, prawa ręka też nie jest do końca sprawna, jednak nie może jej pani wyręczać, pani Helenko. Wręcz przeciwnie, trzeba koniecznie przekładać wszystko do tej właśnie prawej ręki, niech nią je, niech pije, niech się próbuje sama podcierać i tak dalej.

Lena wzdrygnęła się lekko. Oczywiście wiedziała, że opieka nad babcią będzie obejmować także czynności tego typu, jednak nazwanie rzeczy po imieniu zabrzmiało bardzo niedelikatnie.

– Karmimy zawsze od prawej – dodała jeszcze pani Alina. – Mam na myśli, żeby babcia gryzła i żuła prawą stroną. Mówimy dużo, żartujemy, proszę nie wprowadzać żalobnej atmosfery i za bardzo się nie cackać, ale też nie niecierpliwić. To musi iść swoim rytmem. Ma pani jakieś doświadczenie w pracy ze starszymi ludźmi?

– Nie – powiedziała Lena słabym głosem. – Tylko z dziećmi. W tym z jednym autystycznym.

– A, no to jest szansa, że sobie pani poradzi. Ogólne zasady pani zna: nie złościć się, nie wyręczać w tym, co pacjent może zrobić sam, bardzo dbać, żeby nie było odleżyn, oklepywać, oszcypywać, prowadzać do toalety, żeby nie było zaparć i żeby mocz długo nie zalegał. No i współpracować z fizjoterapeutą.

W MAŁYM MIASTECZKU TYLKO NA POZÓR
NIEWIELE SIĘ DZIEJE.

Malownicza kamienica z mansardą skrywa pod swym dachem niejedną tajemnicę. Nieprzewidziane okoliczności sprawiają, że Lena zostaje jej nową lokatorką. Poznaje swoich sąsiadów, nietuzinkowe postaci, które sprawiają, że życie dziewczyny staje się jeszcze barwniejsze niż dotychczas. Wśród jej nowych przyjaciół jest Francesca, ekscentryczna Włoszka po przejściach, która prowadzi mały sklepik z cudeńkami.

Lena zaczyna korespondować z tajemniczym Borysem, właścicielem mieszkania na strychu, który skrywa bolesną tajemnicę.

Dzięki świątecznej wymianie pyszności, mieszkańcy kamienicy lepiej poznają siebie i swoje sekrety.

„CUDA I CUDEŃKA” TO PEŁNA CIEPŁA
OPowieść o ODZYSKANYCH NADZIEJACH,
POTRZEBIE BLISKOŚCI, SILE KOBIECEJ PRZYJAŹNI
I CODZIENNEJ DOBROCI. A WSZYSTKO TO
PRZYPRAWIONE ODROBINĄ WIARY W CUDA.

FILIOTEKA.PL

wydawnictwofilia.pl



Klub książki

ONA
CZYTA

Facebook.com/ONACZYTA

FILIA

cena 44,90 zł

ISBN 978-83-8357-027-3



9 788383 570273